

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.

$\frac{1}{2}$ " — 40 "

$\frac{1}{4}$ " — 20 "

$\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Paljatywy.

Niewątpliwie w związku z ustąpieniem reakcyjnych rządów we Francji i Anglii uznały sfery rządowe polskie za wskazane zająć się kwestją „kresów” oraz „mniejszości narodowych”, jako najbardziej szkodzącą opinii Polski w oczach radykałów zachodnio-europejskich. W tym celu p. Grabski zwołał naradę, złożoną z przedstawicieli rządu, sejmu i t. zw. rzeczoznawców, z pominięciem jednakże wszelkich elementów „nieprawomyślnych”, a więc zarówno reprezentantów narodowości nie polskich, jako też tych działaczy, których poglądy pozostają w rażącej sprzeczności z obecnym, a zapewne i przyszłym kursem polityki rządowej względem zagadnień narodowościowych i terytorjalnych w Rzeczypospolitej Polskiej.

Co ta komisja uradziła, o tem prasa milczy, sądząc wszakże z udziału w niej tego rodzaju „rzeczoznawców”, jak pp. Meysztowicz i Brzostowski oraz odmowy uczestniczenia w obradach kilku zaproszonych posłów z lewicy trudno przypuścić, aby wynik prac komisji dał jakies rezultaty zadawalające. Jeżeli rząd będzie się opierał na własnych informacjach oraz dezyderatach komisji, to cała reforma ograniczy się do personalnych zmian biurokratycznych—i być może usunięcia tych lub owych krzyczących nadużyć z zakresu administracyjnej samowoli.

O zmianie zasadniczego kierunku polityki polskiej względem t. zw. Ziemi Wschodnich nie może być mowy, bo pod tym względem kurs rządowy odpowiada najzupełniej nastrojom i poglądom przeważającej większości społeczeństwa polskiego.

Jeszcze w kwestji narodowościowej pomiędzy stanowiskiem prawicy i lewicy zachodzą znaczne różnice. Lewica potępia bezmyślny nacjonalizm endecki i skłoną jest do pewnych koncesyj w dziedzinie językowej i oświatowej. Natomiast na punkcie zaga-

dnień terytorjalnych i prawica i lewica zgadzają się ze sobą, czując wspólny pociąg do centralizmu, chociaż wychodząc z odmiennych założeń. Można więc ręczyć, że na owej naradzie nawet nie poruszono sprawy autonomji ziem litewsko-białoruskich i ukraińskich; przeciwnie, omawiając reorganizację aparatu administracyjnego wysunięto zapewne konieczność i zbawienność ściślejszej kontroli Warszawy nad działalnością miejscowych organów urzędowych i samorządowych.

Nie ulega zaś wątpliwości, że najzupełniejsza wolność polityczna nie może być całkowitą, jeżeli nie obejmuje możliwości urzeczywistnienia zadań i potrzeb jednostek terytorjalnych, stanowiących całość odrębną. Nawet w państwach szczerze demokratycznych, przy ustroju centralistycznym niemożliwe jest słuszne i celowe zaspokojenie potrzeb miejscowych, czego najlepszym dowodem służy republika francuska, rządzona przez centralistyczną biurokrację i podzielona podług doktryny Jakobińskiej na sztucznie utworzone departamenty, przy tworzeniu których nie liczone się wcale z odrębnościami miejscowymi i którym cież zaledwie samorządu pozostawiono. Przy centralizacji rządów i ustawodawstwa niemożliwym jest zaprowadzenie ustroju rzetelnie demokratycznego, zwłaszcza w państwie o tak różnolitym składzie narodowościowym, jakim jest Rzeczpospolita Polska.

Skrajny centralizm, jaki cechuje obecnie większość polityków polskich jest objawem zupełnie zrozumiałym w zastosowaniu do ziem etnograficznie polskich, jako dążenie do zatarcia różnic trójdzielnicowych, wytworzonych przez stułetnie rządy zaborców. Co jest wszakże naturalnem i nawet pożytecznem, gdy się ma na względzie Kongresówkę, Małoi Wielkopolskę, to jest szkodliwym i bezmyślnem, o ile chodzi o Galicję Wschodnią, Wołyń, Białoruś i Litwę, kraje zamieszkałe przeważnie przez ludność nie polską.

Tyle się mówi o przywiązaniu tej ludności do państwowości polskiej, a nie bierze się pod uwagę tej prostej prawdy, że nie można wymagać od mniejszości narodowych poczucia obywatelstwa państwowego, gdy się je pozbawia praw obywatelskich na miejscu. By wzbudzić zainteresowanie do całości należy w pierw dać możliwość twórczej pracy u siebie w kraju. Polaka mogą obchodzić w równej mierze wszystkie dzielnice państwa, ale cóż może interesować Białorusina Śląsk lub Ukraińca — Pomorze? I u Białorusina i u Ukraińca może jednakże z czasem wyrobić się lojalizm państwowy, o ile będzie się on czuł istotnym obywatelem, nie bierną istotą, podporządkowaną obcym dla niej widokom i interesom, a do takiej czynnej roli zdolny on może być jedynie we własnym kraju, na własnym terytorjum.

Wszelkie więc reformy i ulgi nie doprowadzą do zamierzonego celu t. j. trwałej pacyfikacji t. zw. Kresów czy Ziemi Wschodnich, o ile się będzie je traktowało w sposób dotychczasowy, jako teren naturalny dla ekspansji żywiołu polskiego w rdzennej Polsce.

Tylko usamodzielnienie tych ziem i powołanie ich ludności do zadań obywatelskich, innemi słowy nadanie im autonomji, może je związać organicznie z całością państwa. Na to wszakże bynajmniej się nie zanosi, sądząc chociażby ze wspomnianego faktu, że na naradę przedwstępną nie zaproszono wcale przedstawicieli narodowości nie polskich, jakby dla podkreślenia, że jedynie Polacy są gospodarzami nawet w białoruskim lub ukraińskim domu.

O języku białoruskim kilka uwag życziwych.

Ruch odrodzeniowy każdego narodu, chcąc w ciągu paru pokoleń powetować sobie straty wynikłe z trwającego nieraz długie wieki letargu, ma nie tylko swe prawa, które innym stawia, lecz też *obowiązki względem siebie samego*. I tamto pierwsze zależy od tego drugiego w takim stopniu, że uzupełnienie obowiązków względem siebie, zaniedbanie postulatów wewnętrznych bytu i życia narodowego, pozbawia go w dużej mierze, jeśli nie całkiem prawa wysuwania swych wymagań etnograficznych, historycznych i in., chociażby wyrozumowanych nie wiem z jaką precyzją. Takim postulatem wewnętrznym bytu i życia białoruskiego, zwłaszcza dla tych, co uparcie uważają przyjęcie mowy białoruskiej za warunek niezbędny przynależności narodowej, musi być oczywiście *język*. To jest: rozwój, wzbogacenie uszlachetnienie i podniesienie go do poziomu innych doskonalszych języków. Do tego się dochodzi wysiłkiem olbrzymim, pracowitością wytrwałą...

Nie inna droga do osiągnięcia tego celu leżała i leży przed Białorusinami. Wyboru tu niema, być nie może i pracy nie zastąpi żaden cud, żaden lek, żadno szczepienie! Tembardziej nie można liczyć, że uda się wziąć tę przeszkołę na drodze odważnym skokiem, jakimś *saltomortale*. A jeśli tak jest, to jasno jak na dłoni, że całą nadzieję na przysposobienie języka do czekających go zadań należy i trzeba złożyć w potrójnem haśle: *praca, praca i praca!* Mowa białoruska wymaga włożenia w nią daleko większego kapitału pracy, niż np. ukraińska, przewyższając ją swą giętkością i lepszym ustaleniem form; niż litewska, która nieporównanie wyraźniej się odcina od mów sąsiedzkich i stanowi dziś odrębną całość, zamkniętą w sobie. Nic z tego nie miała mowa białoruska, więc postawiła Białorusinów od razu przed zagadnieniem stworzenia i rozwinięcia całego programu prac: *primo* analitycznych, krystalizacyjnych, *secundo*, że użyjemy tu przenośni, szlifiarsko-rzeźbiarskich.

HEL. ROM.

Śnił sen...

Wielkanoc tak się nazywa na cześć nocy Zmartwychwstania Pańskiego, po której nastąpił triumfalny świt nowego żywota i dzień wesoły, oczekiwany od wieków. Ludzie jednak, więcej niż o nocy, o dniu tym pamiętają i przez długie tygodnie postu przygotowują się doń, a bijąc się kwitnącemi gałązkami pachnącej miodem wierzby, wołają: „wierzba bije, nie ja biję, za tydzień, wielki dzień”!

I nadchodzi ten wielki dzień nowej wiosny, dzień przygotowany trudem kuchennym, postem, pokutą i łaźnią, aż człek oczyszczony na duszy i ciele, wewnątrz i zewnątrz gotowy, przystępuje do objęcia jadła i napoju, nieświadomie łącząc pogański kult doczesnych szczęśliwości i niebiańskich roskoszy, odczuwanych przez ogół głównie podniebieniem.

Stało się raz tak, w jednym dworze, że niejakiemu człeczynie mizernemu dał dobry Bóg noc taką, iż do końca życia nazywał ją szczerze wielką,

bowiem była dlań obfita w zdarzenia miłe i przerażające zarazem, a tak przechodzące zakres jego zwykłego życia, że mawiał o nich potem: „*śnił ja raz sen... uuuch senze, sen!*”!

Autonomiczne państewko dworu Hrynkińskiego, na czas przedświąteczny, czyli na cztery dni poświęcone przyrządzaniu nieprawdopodobnej ilości jadła, ogłaszało dyktaturę kucharza starego Szymona, który z pewną dumą wspominał, że jako poddany i kuchta książęcego dworu Radziwiłłów brał w skórę od kamerdynera „chrancuza”, co z Napoleonem przyszedł na Litwę. Czasami nawet gdy mu się ekstrafajn udały lody owocowe lub paszтет z jemioluszek, opowiadał, że jak przez mgłę pamięta i przemarsz *chrancuzów*, ale bliższe badania wykazały, że wiadomości te od dziada swego otrzymawszy, za swoje przybrał w dobrej wierze. Ten to historyczny filar wszelakich tradycji dworskich, na kilkanaście mil w koło, obejmował w despotyczne panowanie pałac, folwark, kurniki i chlewy, ba, nawet właściwie lasy i knieje, bo leśnicy mieli z nim niejedne *pierepalki*, gdy mu w porę nie dostarczali głuszców, cietrzewi i słońek. Od rana do późnej nocy, odziany w nieskalaną biel pikowej kurtki i szlafmicy, o którą co

Niestety, od daty wolności druków białoruskich nie widzimy wcale, by język białoruski znalazł się w odpowiedniej pracowni naukowej na warsztacie, by tam dłużej przebywał, by wykazał się: tem, że nad nim dużo, umiejętnie a skutecznie pracowano... Ci i owi brali go na swe przeważnie domowe warsztaciki, by raz drugi przesunąć po nim heblem, uderzyć weń dłutem, wbić jakąś własnego pomysłu klepkę... Tymczasem zadanie, rola nader poważna spadła na mowę białoruską. Od wolności druków białoruskich stała się ona naturalnie nie tylko narzędziem do wypowiadania myśli i wyrażania uczuć, lecz też poniekąd *reprezentantką* samej białoruskości nazewnątrz. W ciasnym kółku pionierów białoruskich, dosłownie mogącym w początku wypełnić zaledwie... kanapę, poradzono sobie z tym kłopotem genialnie. Mowa białoruska z szarego szeregowca od razu w drodze nominacji awansowała u nich do szarzy generalskiej. Do dziś dnia jesteśmy świadkami tej bajecznej kariery, która przy bliższym weń wejzeniu sprawia jako żywo wrażenie rzykanctwa, mogącego *in fine finali* wyjść na złe.

By nie sięgać do narodów słowiańskich na Zachodzie i Południu Europy, gdzie w mowy odradzających się narodów włożono ogrom trudu ofiarnego, weźmy pod uwagę, ile to napracowali się Litwini, by ustalić swą pisownię, oczyścić swój język od szpecących go polonizmów, germanizmów..., wzbogacić jego zasoby leksyeczne!.. Dr Basanowicz, jako doskonały znawca bibliografii litewskiej, może wyliczyć coś dwadzieścia gramatyk (różnej wartości) języka litewskiego, napisanych w ciągu ostatnich lat dwudziestu pięciu. Świadczy to o długim a powolnym procesie rozwojowym litewszczyzny. Kto zna bliżej Litwinów, ten się zgodzi z nami, gdy powiemy, że odrodzenie litewskie wydało cały szereg ideowych szermierzy, pasjami aż do przesady, zamiłowanych w dociekaniach filologicznych, skrzętnym grzebaniu się w materiale leksyecznym w tym jedynie celu, by znaleźć nowy lub tylko lepszy termin dla jakiegoś drobnego pojęcia. Każdy z nich czynił to w przeświadczeniu, że się cegielką kładzie w zrab budowy litewskiego języka *literackiego*.

A co w tym celu uczynili dotychczas Białorusini? Gdzie są białoruscy filolodzy? Uczynili przeobrażenie mało. Niema ich! Pisowni białoruskiej poświęcili po jednej broszurce kolejno: A. Łuckiewicz, J. Stankiewicz, Abicht, B. Poczapko, Br. Taraszkiewicz, J. Losik... Były to próby, zresztą b. małe... Znany filolog litewski ks. Jawnis podobno za rozprawkę językową wielkości tylko jednej strony otrzymał stopień doktora, więc nie będziemy tu robić zarzutów autorom gramatyk białoruskich, że ze sprawą ważną załatwiali się broszurkami, ale stwierdzić musimy, że ogólny plon ich pracy dla *samego* języka białoruskiego jest b. nikły. Zamiast by owe próby traktować jako studia wstępne do dalszych obszerniejszych już prac, przedwczesnie spoczęto na wawrynach wartości wątpliwej. Rzeczywiście nikogo z wymienionych wyżej nie widzimy dziś przy warsztacie językowym. P. A. Łuckiewicz rychło przeszedł od *prawapisu* do *Hochpolitik*, J. Stankiewicz powziął chwalebny zamiar dalszego kształcenia się, trochę ekscentryczny w swych pomysłach Abicht przeniósł się, niestety, do wieczności, B. Poczapkę przycisnęły troski rodzinne, a filolog fachowy Br. Taraszkiewicz zmienił pracownię naukową na arenę walk sejmowych. Obecnie z niewiadomym powodzeniem debituje w Mińsku na tem polu Józef Losik... Tak się rzecz ma z gramatyką i składnią języka białoruskiego, ale to przecież dla chcącego nie wyczerpuje jeszcze możliwości pracy dla przyszłości języka.

Nie słyszeliśmy jednak o większej a dłuższej pracy jakichś komisji, wyłonionych dla językoznawstwa białoruskiego, a one takby się przydały! Wiadome są tylko wysiłki *ad hoc* pojedynczych osób, jak pp. Duszewskiego, Łastowskiego... (*Krywicz*). Praca zbiorowa nad folklorem białoruskim jest tem potrzebniejszą, że na Białorusi lud mówi tylu lokalnymi odmianami. Poruszając ten temat, trzeba wyrazić ubolewanie, że najgorzej traktowano przy kleceni białoruskiej mowy literackiej właściwości zachodnie, majoryzując je prawie zawsze na rzecz wschodnich.

Pewien przyjaciel ruchu białoruskiego mówił nam: każdy wydany numer białoruskiego pisma jest

rano było piekło, że nie dość pięknie zaprasowana, *tańcował* wedle własnego wyrażenia po swej obszernej kuchni, pastwiąc się nad całym stadem dziewcząt, biegających i potracających się w błędnym przerażeniu, miotał gromkie rozkazy paru popychadłom męskiego rodzaju, wyrostków *przystawionych* do kręcenia ciężkich ciast, rąbania drzewa, szczepiania łuczyw i w ogóle na tkwienie *pod ręką*, na wszelkie posyłki piesze i konne do miasteczka. Państwo schodzili na plan drugi; po naradzie z panią dziedziczką jakie mają być ciasta i mięsiwa. Szymon wymrukiwał w przestrzeń, pełen znaczenia frazes: „*Żeb mnie tylko nikt do mojej kuchni nie wtracał sie*“... i domowi wiedzieli co to znaczy! Nie było upokorzenia, aż do przyjęcia z uśmiechem propozycji przypasania ścierki, którego by dzieci nie zniosły, byle móżd się wcisnąć w tę kuchnię pachnącą szynką, szafranem, tłustością i wanilią, smolnem drzewem i potem ludzkim, pełną gwaru, żartów, wesołości i ruchów skomplikowanych, jak kręcenie się kótek zegarka. Z wielkim trudem, oplaconą łzami i zaklinaniem na życzliwość od urodzenia, wymodlona groźbą że niczego nie tkną, spływała wreszcie na nie łaska zezwolenia i zapchane w kąt szlabana, pomalowane

go na żółto, między stołem i oknem, mogły tam używać najwyższej rokoszy postawienia na swoim oraz łuszczenia migdałów i przebierania rodzynek, których dziwnie zmniejszająca się przy tej kombinacji ilość, groziła nieudaniem mazurków lub babek.

Powoli z pieców, kaszlących niustannym, czerwonym ogniem, podsycanym polanami, pieczołowicie wysuszaniem od tygodni, wyjeżdżały mięsiwa: szynka zapiekana w chlebie razowym, z pękającą skorupą ciasta, wylewająca tak cudne wonie, że psy zaczynały skomleć za drzwiami, a ludzie wdychali nabożnie, dziękując dobremu Bogu, że tak pozwolił wyrosnąć *żywołce*. „*Ot żesz kaban był... jak koń!*“ szeptało, a Szymon wyrażał od niechcenia uznanie ochmi-strzyni, słowami: „*a nic sobie parsuczek*“, co tę codzienną ofiarę jego kaprysów wprawiało w lube zdumienie. Wynoszono cielece pieczenie i kiełbasy, miłutkiego parsuczka złotego i przykucniętego na łapkach, indyka nadziewanego śliwkami, który zdawał się jeszcze po śmierci panoszyć nad innymi, zwierzyne i głowę świńską, uśmiechniętą ironicznie i dobrodusznie zarazem, spoglądającą przymrużonemi ślepiami na te zabiegi ludzkie. Kucharz z namaszczaniem kosztował wszystkiego i wnet spluwał

ednocześnie pracą nad rozwojem i doskonaleniem mowy białoruskiej. Zapewne. Tego jednak za mało. Pracy nad językiem nie można wykonywać mimochodem — wymaga ona zazdrośnie oddania się zupełnego. Również nie usprawiedliwia tu Białorusinów zwykłe utyskiwanie na brak ludzi. Niechby jednak lepiej zabrakło ludzi do *majstrouni dramatycznej* lub klubu, niż do pracy tak podstawowej, ważnej.. Obserwując życzliwie, choć tylko z ubocza, wewnętrzne życie Białorusinów wileńskich doprawdy rychlej można się spodziewać dziś powstania w Wilnie jakiegoś *Hurtka Filatelistou* lub *Suwiazii Teozofou*, niż zbiorowej pracy nad językiem białoruskim. Niewesołe tedy horoskopy.

Tymczasem pocziwcom białoruskim wciąż się zdaje, że ich mowa z kopciuszka stała się już królową z bajki...

Spectator.

Uwagi Spectatora podyktowane niewątpliwą życzliwością dla kultury białoruskiej, słusznie podkreślają niedostateczne jeszcze wyrobienie białoruskiego języka literackiego. Grzeszą one wszakże zbyt- niem przecenianiem znaczenia naukowych badań lingwistycznych dla rozwoju języka literackiego. Tymczasem żywy język kształci się i rozwija nie w gabinetach uczonych, lecz pod działaniem bezpośrednim życia, znajdującym swe odbicie w twórczości poetów, literatów i publicystów.

Pewien znany autor warszawski, gdy mu zwrócono uwagę na rażący jakiś neologizm w jego utworze, odrzekł nie bez pewnej zarozumiałości: „Odtąd ma on prawo obywatelstwa, bo ja go użyłem”. Istotnie każdy język najbardziej zawdzięcza swe wyrobienie wielkim artystom słowa.

A pozatem jest jeszcze jeden czynnik, którego nie zastąpią ani praca ani talent. Jest nim czas.

(Przyp. Red.)

Biskup Bandurski.

Wobec dłuższego pobytu i niezmiernej ruchliwości na naszym gruncie biskupa Bandurskiego oraz nieświadomości ogółu co do właściwego stanowiska, jakie ten dostojnik kościelny tu zajmuje, postaraliśmy się o artykuł ze źródła dobrze poinformowanego, oświetlający bezstronnie i wyczerpująco osobę i rolę obecną ks. biskupa. *Red.*

Biskup Bandurski należy niewątpliwie do szlachetniejszych przeciwników dążeń litewskich, mających na celu odzyskanie Wilna. Występuje on otwarcie, mówi co myśli i czuje, brzydzi się kłamstwem, systematycznie uprawianem przez endecję, gniewa się i oburza, lecz nie umie nienawidzić, jak tyłu innych w Wilnie. Dlatego z podniesionem czołem mógł przed paru laty stanąć wśród Litwinów, wileńskich i z prowincji, zebranych tłumnie na uroczystej akademii ku czci św. Kazimierza. (Podobnie w wizytując Galicję Wschodnią, mimo ostrego napięcia stosunków ukraińsko-polskich wstępował do cerkwi unickich po wsiach i serdecznie przemawiał do *braci Rusinów*). Również umiał biskup Bandurski, od chwili swego przyjazdu do Wilna po dzień dzisiejszy, być zawsze poprawnym względem ordynariusza, biskupa diecezjalnego Matulewicza, którego nieustannie napastuje prasa endecka, przy czynnym udziale części kleru polskiego. Jakże odmiennym był stosunek do biskupa wileńskiego np. arcybiskupa Hryniewickiego, pozwalającego endecji posługiwać się jego osobą dla celów partyjnych niby manekinem! Wcale nie leży w programie biskupa Bandurskiego robienie jakiejś frondy przed oknami cichego pałacu biskupiego przy ul. Zamkowej.

Biskup Bandurski jest urodzonym politykiem i wybitnym mówcą patriotycznym. Jedno z drugiem wiązał się u niego najściślej. W tym charakterze zasłynął już w Krakowie, zwłaszcza na ambonie u Panny Marii, wtedy, gdy przez szereg lat piastował tam urząd kanclerski w książęco-biskupiej kurji, przy boku kardynała Puzyny. Tylko niemały takt podówczas jeszcze ks. dr. Władysława Bandurskiego pozwolił mu

z obrzydzeniem, jako że post! Potem zaczynała się epoka ciast i tu wzruszenia obecnych dosięgały szczytu. Był taki moment kiedy *one* stały na stołach i *podchodziły*, ogarnięte wytłuszczonym papierem, rosły i puszyły się w miedzianych rądlach, liczących półtora wieku służby w rodzinie. Wtedy biada intruzowi, który ośmielał się wsunąć nos w to sanktuarjum! Witał go ryk kucharza i chór dziewic wołający: „Zakalec! Zakalec!”, przyczem Szymon porwał kocergę i zasiadał na ławie koło babek, mówiąc z pasją: „*Musi ja tych babów dziś pozabijam, ciąq robio, latajo po kuchni aż podłoga skacze, dyk ci ja będe winny, jak będzi zakalec, nu ci ja?*”. Każdy głośno przyznawał, że w żadnym razie nie on, poczem następowały dziwne obrzędy z piecem, wymiatanym nową pomiołą, z którą gruba Agata prawie laża w gorzącą czeluście, by ani *pylinki* węgla nie zostawić. Niesiono z zapartym tchem ciasta, motylej lekkości ruchami stawiano je i posuwano, zastawiano zasuwę i zapadano w kataleptyczne milczenie. Misterjum dokonywania się dzieła odbywało się taml.. Jeśli zaś która dziewczyna mniej przejęta ważnością chwili, wyciągała żałośnie i cieniutko pieśń wielkopostną: „Zasłona się popadała, ziemia się rwie, ryczy

skała”.., wnet spiorunowana władczem spójrzeniem tyrana kuchennego milkła przerażona. Otwierano po jakimś czasie piec, Szymon zanurzał się z patykiem w rękę w ciepłą czeluść i wychylnawszy się z niej próbował palcem i smakował koniec drewnianka, stawiając oczy w sęp. „Gotowe!” wyrzaskiwał triumfalnie i na poduszkę wysuwano baby petynetowe, żółtkowe, piankowe. „Uważaj, jak ty ich bierzesz!” wołał Szymon do pomocnic, te zaś zapewniały, że rodzonych dzieci by już delikatniej nie mogły niańczyć.

Wreszcie robiono mdlejącymi ze zmęczenia rękami lukry i przybrania, wybierano największy, najpiękniejszy herbowy obrus, dzieci przynosiły z mokrą zimnego lasu zieleniny, wychylające się dopiero z pod śniegu i ustawiano w oszklonej *orańdzie* (tak brzmiała w miejscowej przeróbce nazwa werandy) *święcone*. Wtedy następowała chwila ogólnego zachwyty, jakby zawieszenie wszelkich czynności i funkcji życiowych, spoczęcie na laurach i upojenie zwycięzców.

(D. c. n.)

na tak długą współpracę z osobnikiem, niezwykle kanclasty, za jakiego słusznie uchodzić mógł sprawca pośredni upadku kandydatury Rampolli na konklawe 1903 r. Otóż wyniesienie ks. kanclerza krakowskiego o tak wyraźnym obliczu politycznym na sufraganję lwowską, opróżnioną przez usunięcie się ze Lwowa biskupa sufragana Webera, zrobiło oczywiście nie małe wrażenie nad Półcią, przedewszystkiem w kościelnych sferach. Jest dziś publiczną tajemnicą, że ta nominacja nie była wcale po myśli arcybiskupa Bilczewskiego. Przeprowadziły ją wpływy w Galicji i u rządu wiedeńskiego koła, którym się ze wszech miar podobał nieprzeciętny typ księdza polityka, mogącego dzięki niepospolitej wymowie nawet poszerzać swe koncepcje polityczne, jednając im nowych zwolenników.

Gdy jedni z księży archidiecezji lwowskiej, zwolennicy czynnego udziału kleru w polityce chwili bieżącej, skłonni byli widzieć w biskupie Bandurskim natchnionego przewodnika narodu, inni bardziej zachowawczy w swych poglądach nie pisali się całkowicie na jego kierunek polityczny, zajmując względem niego stanowisko bardziej krytyczne. Po kilku latach też biskup Bandurski złożył swój urząd sufragana lwowskiego.

Swą działalność polityczną rozwijał biskup Bandurski nie tylko słowem żywym, jako wielce pożądanym dla obchodów narodowych w Galicji krasomówcą, lecz i piórem, ogłaszając drukiem szereg większych lub mniejszych publikacji. Różnego rodzaju są te utwory, są wśród nich nawet obrazki sceniczne, wszystkie jednak są one na usługach propagandy politycznej, którą nie przestawał ani na chwilę uprawiać wszędzie, gdzie tylko mógł biskup Bandurski. Ponadto występował on jako prelegent. Tak między innymi wygłosił swego czasu w teatrze krakowskim głośny odczyt o Wyspiańskim, upatrując w zmarłym poecie Mickiewicza najbliższych czasów. Brylowanie jednak fioletów biskupich w świetle kinkietów, na scenie teatralnej, wywołało częściowo dość ostrą krytykę. Była to ekstrawagancja dość młodego biskupa, ostro się odcinająca od zwykłej rezerwy starszych członków episkopatu galicyjskiego, jak Pelczara, Pużyny, Wałęgi, Bilczewskiego... Zbieżność atoli tematów historycznych i literackich, z polityczno-patriotycznymi dawała możność szeroko wyzyskiwać w prelekcjach pierwsze na rzecz drugich.

Nic dziwnego, że człowiek o tak czynnym, ekspansywnym temperamencie politycznym jak biskup Bandurski czuł się niekiedy mocno skrzepowanym dość wąskimi granicami Galicji i Lodomerji i tęskno spoglądał przedewszystkiem ku Królestwu Polskiemu, chcąc przenieść doń swą działalność. Próżno zabiegał o wizę rosyjską, by pojechać do Częstochowy na poświęcenie odbudowanej po pożarze wieży jasnogórskiej, — rząd rosyjski stanowczo mu jej odmówił, bojąc się ognistej jego wymowy.

Po wybuchu wojny wszechświatowej Bandurski wyruszył z Krakowa z kadrówką Piłsudskiego, z którego ideą zbratany już był oddawna, a teraz związał się z nią na śmierć i życie, ostatecznie. Nie samą swą obecnością jednoczył się z akcją polityczno-wojskową Piłsudskiego, lecz i wystąpieniami owoczesnymi. Dość wspomnieć słynną mowę biskupa Bandurskiego w kościółku Zmartwychwstańców na Rennwegu w Wiedniu. W Wilnie reagował nań ostro J. Hłasko w „Kurjerze Litewskim“.

Przyjazd biskupa Bandurskiego do Wilna i jego akcja polityczna w naszym kraju, acz upozorowane

zaproszeniem gen. Żeligowskiego, mają swe główne uzasadnienie w tem, że ex-sufragan lwowski jest piłsudczykiem i do ziem wileńskich nabrał sentymentu politycznego od b. Naczelnika Polski. Tak ściśle związanie swej osoby z nazwiskiem i działalnością Piłsudskiego nigdy nie było zbyt mile widzianem przez episkopat polski. Stąd biskup Bandurski przy legjonach pracował sobie jako przygodny wolontarjusz lub hospitant w szeregach polskiego duchowieństwa polowego i do dziś dnia *żadnej* godności w hierarchji kleru wojskowego nie zajmuje. W takim właśnie charakterze, lepiej przy braku wszelkiego charakteru funkcyjnego, biskup Bandurski przebywa obecnie w Wilnie, bynajmniej nie pełniąc obowiązków jakiegoś pomocnika lub zastępcy biskupa polowego Galla, który będąc człowiekiem bardzo jeszcze krzepkim, wyręczać się nikim nie potrzebuje. Niczem tedy nie skrzepowany i mając czasu poddostatkiem, biskup Bandurski od jesieni r. 1920 oddał się u nas całej akcji politycznej i pod tym kątem widzenia brać i oceniać należy tu każdy jego krok: mowę, odezwę, wizytę, podróż...

Niestety, sam on widocznie tego nie odczuwa i jak świadczy ostatnia, w dniu 3 maja, jego przemowa, uważa siebie chyba za najbardziej apolitycznego człowieka na świecie.

Pewną niespodziankę biskup Bandurski sprawił nam przyjęciem zaofiarowanej mu w Litwie Wileńskiej działki ziemi. Spodziewaliśmy się bowiem, że zechce pouczyć szeregowców kapłaństwa, jak mają gardzić nadarzającą się sposobnością nabycia domu lub mająteczku.

Dziś gdy marszałek Piłsudski do czasu zszedł z widowni, zdarza się słyszeć w sferach wojskowych, że legjonowego biskupa nazywają *dziadkiem*... I słusznie, bo biskup Bandurski, tak bliski dla P. O. W., a członek honorowy *Strzelca*, politycznie pokrywa się bodaj całkowicie z osobą Piłsudskiego. Tak właśnie jest ocenianą dziś biskupa Bandurskiego akcja, agitacja i propaganda. I to nie tylko przez laików, lecz przez pełne rezerwy stanowisko względem niego całego episkopatu polskiego. Zapewne z tej strony wyszła uczyniona coś przed rokiem biskupowi Bandurskiemu oferta sufraganji lubelskiej, by hierarchiczny *ex-lex* jakoś wreszcie uporządkować. Nie spotkała się ona z chętnym przyjęciem ze strony kandydata do stali sufragańskiej.

Dobrze w każdym razie, że się myśli o uporządkowaniu stanu nienormalnego dla Kościoła, który jako *societas hierarchica* działania na wolontarjusza i na własną tylko odpowiedzialność przeciwieźnie i nie aprobejuje. Że się sprawa ta przewleka, winne jest naogół powolne tempo naszego życia i potrzeba wynalezienia najlepszego wyjścia, jakiem tak często bywa znane: *promoveatur, ut amoveatur*.

Nam się wydaje, że biskup Bandurski mimo wszystko zasłużył na coś lepszego niż jakaś sufraganja i bylibyśmy bardzo radzi widzieć go, sędziwego dziś wiekiem, powołanym na jedną ze starych stolic w rdzennej Polsce. Litwa, a szczególnie Wilno, słynie z gościnności, a biskupów u siebie chętnie widzi, ale i najmiłsza gościna dokuczy wreszcie gościowi, który musi zatęsknić w końcu do domu własnego.

Zn.

Białoruskie Seminarjum nauczycielskie w Świsłoczcy.

Ponieważ dzieje krótkiego żywota „Białoruskiego Seminarjum nauczycielskiego w Świsłoczcy“ mało uę znane ogółowi, a i te wiadomości, które się sikazywały w prasie, były po większej części mylne i fałszywe, uważam za powinność skreślić króciutką historję tegoż seminarjum w świetle czystej prawdy i bezstronności, chociaż wołałbym wogóle tej sprawy nie tykać piórem, bo już na samo wspomnienie tego, na co się ciągle patrzyło i co osobiście się przeżywało, dreszcz przejmuję i mimowoli ogląda się człowiek, czy nie stoi za tobą ten, który dufny w potęgę swego oręża, gotów cię za maluchną rzecz skazać na wywiezienie do obozu jeńców, lub do kopalń w Westfalji.

„Białoruskie Seminarjum w Świsłoczcy“, było istną niemiecką komedją. W razie wygranej niemieckiej do dnia dzisiejszego nie byłoby tu bodaj i śladu białoruszczyzny, sądząc z tego, że już czasu okupacji wyrывało się nieraz z ust dyrektora Bendziechy (z niemczonogo Ślązaka): *Das ist eine Deutsche Seminar!* i z tego, że kładziono największy nacisk na wyszkolenie seminarzystów w mowie niemieckiej, że szkoda oczywistą dla przedmiotów, wykładanych po białorusku. Rzecz jasna, iż okupanci nie mogli postępować inaczej. I jeżeli bezczelnie postępowali z Polakami, nieporównanie silniejszymi liczebnie i kulturalnie, tem bezecniej poczynali sobie z Białorusami, o których podobno informował ich ktoś z przeciwnego obozu w Wilnie, jakoby mają tylko 2 Łuckiewiczów, Łastowskiego, Kairysową i Poczobkę i na nich kończy się cała Białoruś.

Otóż dnia 15 października 1916 roku, wobec zebranych 19-tu młodzieńców, jednego nauczyciela białoruskiego i całego tuzina starszyny niemieckiej z *Ob-Ost*, oraz władz miejscowych niemieckich, otwartem zostało owo seminarjum dla Białorusinów. Wygłoszone tu przemówienia niemieckie, skierowane były przez jednych dygnitarzy do drugich, z czego uczniowie bodaj nic zrozumieć nie mogli, oprócz paru, którzy jako tako władali językiem niemieckim.

Rozpoczęły się „studja“... Ale katorga to była, nie studja!... Mieszkać wypadało w chłodnem, prawie nieopalonem mieszkaniu. Uczyc się, o ile nie kupi się za własne pieniądze świec, przy blasku ognia palącego się w kominie kuchennym, gdzie gotowała się herbata, osładzana potem odrobiną sacharyny, albo sławny *balbason* (woda, w której gdzie nie gdzie trafiały się kartofle, cokolwiek osolone, a były wypadki, że i bez soli). Jako okrasę do tego specjału — dawano tygodniowo 2 funty mięsa i 1 funt masła. Kto nie miał prowizji z domu, względnie nie miał za co kupić gdzieś na wsi chleba, literalnie przymierał z głodu. Pewien seminarzysta z tego powodu uciekł z uczelni i poszedł do robót lesnych w Białowieży, które mu były widać lżejsze, niż życie w seminarjum. Ale posłano żandarma, który napowrót sprowadził zbiega.

Po trzech miesiącach takiej nauki, zjechała „*Kaiserliche Prüfungskommission*“ i urządzone były egzamina, po których 18 absolwentów otrzymało szkoły *białoruskie*. Jednak podobno niektórzy prawosławni uczyli przeważnie po rosyjsku, a jeden katolik — po polsku.

Po tym kursie zebrano drugi, już na termin 6-miesięczny.

Ten miał się cokolwiek lepiej, gdyż następowała wiosna i lato, a zjechali się przeważnie z bliska, więc mieli żywność z domu.

W zasadzie kurs seminarjum miał być 6-letni, a więc wypuszczeni po 3-ach, później po 6, wreszcie po 10 miesiącach, obowiązani byli każde ferje zjeżdżać się do Świsłoczcy na tak zwany: *Wiederholungs- und Vorbereitungskursus*, w celu rozszerzenia wiedzy i tak miało trwać dopóty, dopóki suma odbytych w seminarjum miesięcy nauki nie wyniesie razem 6 lat!...

Oryginalny był też sposób zbierania seminarzystów. Ponieważ na wezwania gazety *Homan* zgłosiła się niedostateczna ilość kandydatów, więc niemieccy inspektorzy szkolni powiatów Sokólskiego, Bielskiego i Białostockiego, mając w szkołach polskich nauczycielstwo niekwalifikowane, niektórym z nich stawiali alternatywę: jechać do Białoruskiego Seminarjum w Świsłoczcy, lub — opuścić posadę. Byli tacy i były takie, co żywiąc uczucia narodowe polskie i wprost nienawiść do *chamskiej mowy* białoruskiej, przyjeżdżali jednak do Świsłoczcy, dla zdobycia żądanych kwalifikacyj. Tu dopiero poznali oni, jak niemądrze postąpili i po długich a trudnych staraniach i po wytłumaczeniu przez t. zw. „Pierwszego białoruskiego nauczyciela“ dyrektorowi, że Białorusini wcale nie życzą sobie przerabiać rdzennych Polaków na Białorusinów, mogli wrócić do domów. Było paru i takich, co czując się Polakami, pozostali mimo to w zakładzie i ukończyli kurs. Zabłąkała się tu jedna też Rosjanka. Otrzymawszy szkołę, prowadziła ją niestety w języku rosyjskim i gdy przyjechała za rok na kurs wakacyjny, już nie umiała ani pisać, ani nawet mówić po białorusku, wreszcie pewnej nocy ulotniła się do Wilna. Że najnieodpowiedniejszy element trafiał tu przez werbunek siedzących po wsiach żandarmów, o tem mówić nie trzeba.

Polacy i Polki ukończyli kurs właśnie wtedy, kiedy Niemcy zostały pokonane, i seminarjum zwinęto, więc niewiadomo, jakby oni prowadzili szkoły białoruskie. Zresztą niejaki Dąbrowski z Łomżyńskiego prowadził w Bielskiem szkołę białoruską rzetelnie.

Komedją było sadzanie na ławie szkolnej, obok 4- o i 6- cio klasistów, względnie obok osób, które ukończyły seminarja nauczycielskie rosyjskie, osób umiejących zaledwie czytać na *Stuzbie Bożej*. A zdarzali się i tacy...

Stosunki pomiędzy prawosławnymi i katolikami, mimo różnic wyznaniowych były znośne, dopóki nie popsuł ich „drugi białoruski nauczyciel“ który, chociaż miał polskie nazwisko, mawiał, że starsi krewni jego poszli na Sybir za udział w powstaniu 63 roku i urzędowo należał do wiary katolickiej, naraz poczuł się w obowiązku bronienia prawosławnych od „*unjactwa*“, przeciw któremu ostrożnie, ale systematycznie zbijał wszystkie zarzuty świecki katecheta.

Widząc taki stan rzeczy, a sam nie mając żadnego autorytetu, ów nauczyciel uczynił się nagle arcystronniczym, stworzył fikcję niebezpieczeństwa dla prawosławnych, no i zasiał tem niezgodę. Właśnie pod ten czas odwiedził przejazdem do Wilna Świsłocz gr. - katolicki biskup Bocian. Siewca niezgody przedstawił prawosławnym, jakoby to nauczyciel religii katolickiej, specjalnie starał się o ten przyjazd biskupa, chcąc urzędownie już, w drodze gwałtu, przyłączyć miejscowych kate-

chumenów do Unji, a sam otrzymać święcenia unickie. Wkrótce zresztą był wzięty jeszcze trzeci nauczyciel — prawosławny, któremu powierzono też wykładanie religii dla prawosławnych.

Ostatni kurs złożony był w znacznej większości z byłych nauczycieli rosyjskich, podczas wojny będących oficerami, którzy wrócili wtedy z Rosji po pokój w Brześciu Litewskim. Teraz zasiedli znowu obok siebie monarchiści, anarchości, komuniści, Białorusini i Polacy, a nad wszystkimi nimi czuwało oko okupanta-hakatystry...

Ale niedługo już to trwało, bo 15-go listopada 1918 roku, na wieść o niemieckiej przegranej, seminarzyści wraz z nauczycielami białoruskimi zebraли się w głównej auli dla naradzenia się, co robić i na czym się oprzeć, i postanowili wysłać delegację do Wilna. Niemcy ułękli się, aby ci, przeważnie byli wojskowi, nie rzucili się do rozbrajania ich, więc ogłosili, że po paru dniach przestaną kursować pociągi i radzili rozjechać się do domów, co też zostało uczynionem.

Oculus.

Skandaliczne zajście.

Od pewnego czasu, zwłaszcza w związku z wszechpolskim zjazdem korporantów w Wilnie, zachowanie się pewnej części młodzieży akademickiej w stosunku do ludności żydowskiej stało się niezwykle aroganckie i wyzywające. Prasa żydowska oczywiście odpowiednio reagowała na te wybryki.

W rezultacie wynikło skandaliczne zajście, o którym pisma polskie wspomniały pobieżnie i zdaje się niezbyt obiektywnie, a którego przebieg, według relacji pism żydowskich, tak się przedstawia:

Dn. 16 maja o godzinie 12 i pół po południu przyszli do redakcji „Di Cajt“ trzej studenci polscy w czapkach korporanckich z kijami w rękach, dopytując się o redaktora. W lokalu redakcji obecni byli wówczas trzej współpracownicy, którzy nic nie podejrzewając, prosili studentów spocząć. Studenci nie chcieli jednak skorzystać z podanych im krzeseł, nacierając na stół, przy którym pracowali członkowie redakcji.

Akademicy otoczyli dziennikarzy ze wszystkich stron, a zarazem zatarasowali wyjście. Okazało się, że „goście“ żądają wymienienia autora artykułu wydrukowanego w „Cajt“ pod tyt. „Chuligani hulają w centrum miasta“. Gdy jeden z współpracowników radził im zwrócić się w tej sprawie do sądu — przywódca „trójki studenckiej“ spoliczkował go, dodając: „oto twój sąd“. Dziennikarz jednak nie stracił przytomności i zamknął drzwi na klucz. Wówczas chuligani rzucili się z kijami na niego chcąc wyłamać drzwi. Gdy ucieczka się nie udała, jeden ze studentów pobiegł do otwartego okna, krzyząc: „bracia, na pomoc!“. Jak się później okazało, na ulicy czekała na nich większa grupa studentów, którzy przyjechali w dwóch dorożkach. Zamknięte drzwi nie pozwalały jednak posiłkom dostać się do redakcji. Wówczas uwięzieni studenci rzucili się z kijami na członka redakcji — lecz porządnie oberwali i zostali odparci. Widząc, że napotkali na niespodziewany wcale opór, studenci zmuszeni byli czekać, aż policja nadejdzie. Charakterystycznie, że napastnicy usiłowali telefonować do III komisariatu i twierdzili, że nie obawiają się policji, gdyż komisariat ich zna.

Gdy wezwana telefonicznie przez dziennikarzy policja nadeszła i zażądała od chuliganów zgodnie z wnioskiem współpracowników redakcji, przedstawienia legitymacji — chuligani powołali się znowu na III komisariat, prosząc o telefoniczne porozumienie się z tym komisariatem. Policjanci odprowadzili jednak napastników do I komisariatu, dokąd poszli również dziennikarze. W komisariacie odmówiono z początku spisania protokołu pod pretekstem, że jest to „sprawa prywatna“. Dzięki jednak energicznej interwencji dziennikarzy stwierdzono, że napastnicy są studentami Uniwersytetu Wileńskiego. Oto nazwiska „bohaterów“: Mieczysław Brzozowski, Feliks Gąsiorowski i Zygmunt Mackiewicz.

Podobno władze uniwersyteckie zamierzają oddać napastników pod sąd dyscyplinarny, natomiast nic nie wiadomo, jak się zachował ogół akademicki wobec swych kolegów, którzy popełnili ten czyn oburzający.

Piszą do nas.

W odpowiedzi krytykowi.

Krytyka, aby nie chybiła swego celu, musi być rzeczową, logiczną i zdradzającą znajomość omawianego przedmiotu. Niestety! tego nie można powiedzieć o krytyce „Błędnych Ognii“ J. Wichert-Kajruksztysowej przez p. Mira, zamieszczonej w № 9 „Przeгляdu Wileńskiego“. Przedewszystkiem uderza w niej ogólnikowość, mglistość, płytkość ujęcia swego zadania i wielomówstwo, bo i na cóż to szumny, jakby z katedry prelekcyjnej wygłoszony, wykład o znaczeniu rymowanej poezji (czy chodziło tu o wykazanie swojej erudycji?), a dalej dawane ubogie treści rady, że „autor musi się starać mówić o sobie *zgrabnie* i nie zanadto obficie“. (Czyżby tylko tyle!) Jest to zapewne własne i jak widać „bardzo głębokie“ credo p. Mira, jak i to, że „trzeba tak pisać aby zwrócić i przykuć uwagę czytających.“ (!) Poeta chyba pisze dla tego, że jest to potrzebą jego ducha, jego popędem twórczym, pytać go czemu, to jakby pytać:

Czemu słońce swieci,
Czemu szumią drzewa,
Czemu ptaszę śpiewa,
i we błękit leci...

Pozatem jakie ma prawo krytyk sądzić, że tylko „łatwość dobierania rymów (!!)“ i „chęć utrwalenia ich w druku“ była powodem wydania „Błędnych Ognii“? Skąd ten wniosek? Czy krytyk znalazł choć jeden wiersz wyrażający ambitne i wyniosłe marzenia o sławie?.. Czy odwrotnie, na wstępie nie zaznaczam, że „królestwo moje jest to kraina ducha“, a i sam krytyk dalej mówi: poeta chce być tonem piękna i nieść męczeństwa prawdy znak.“ Zkąd też ta pewność, że wszystkie „płody swego ducha“ wydrukowała, a może tylko ich część zaledwie dzieją się i to po latach osiemnastu swjej pracy?..

Dalej się skarży krytyk, że „wziawszy do ręki duży, aż 148 str. zbiór wierszy I. W.-Kajruksztysowej jest się cokolwiek przerażonym tą obfitością rymów“ (aż nawet?!). Sądząc po tem „przerażeniu“ musimy przypuszczać, że chyba p. Mir nigdy nie brał do ręki już nietylko klasyków, których tomy poezji są nieraz bardzo wielkiej objętości, ale nawet i książek nowoczesnych pisarzy, o znacznie większej ilości stronic.

Za to omawiając rzeczy nie mające nic wspólnego z głębią przedmiotu, krytyk nie mówi nic ani

o formie poetyckiej ani o języku, ani nawet o treści „Błędnych Ognió”. Mglistość i ogólnikowość widzimy tu ciągle w określeniach jakimi są: „wiersz dobry”, (tylko jeden i pod jakim względem?) „nastrojowy” i „dobrze oddający wrażenia piszącej”... Toż przecie i bełkot dziecka też „dobrze oddaje wrażenia” i nastroj dziecięcy... Takimi też są określenia, z których się składa niemal cała krytyka: „poetka *chce być* tonem piękna...” (a czem jest?) „jakkolwiek poetka odczuwa naturę dosyć po literacku, *jednak* i t. d. „*czasami* autorka rymuje dowolnie jęk—bezdeni męk”. Tu jeden przykład nic nie mówi, bo nawet u wielkich mistrzów słowa mogą być oddzielne rymy mniej lub więcej udatne.

Przytaczając również jeden końcowy czterowiersz wydarty z utworu: „Kraśny dym szału”, notabene wyróżnionego jako ładny obrazek w krytyce umieszczonej w „Promieniu”, krytyk dziwi się, że ten wiersz umieszczono obok dobrego, bo nie jest on poezją ani w treści ani w rytmie... O rytmie tu nie mówię, bo jest to poczucie często subiektywne, o tyle co do treści zapytam, czy krytyk sądzi, że poezja wymaga jakiejś określonej treści, czy tylko istnieje jako romantyczny smęt opiewanych obłocznych puchów, snów i słowików?...

Co zaś do „Zielonego nastroju” (nie „wiersza” jak zaznacza p. Mir) trudno mi było przypuścić, że będąc tylko jedynym wierszem o innym, stylu i nastrojach, zrozumianym będzie jako „silenie się na futurizm”, a nie jak żartobliwa i ironiczna parafraza niektórych nowoczesnych poetów, bo chyba, sądząc z całego tomiku starczyło by mi jeszcze na nieco poetyczniejsze porównania niż „jestem jak rura ssąca lub „jak ludożerca”... Zaznaczyłam go też jako wiersz: „z czerwonej teki”, ale, żeby to zrozumieć, to trzeba dobrej woli, o którą tak trudno, gdy się krytykuje nieznanych jeszcze poetów.

Julja Wichert-Kajruksztisowa.

Bibliografia.

Piotr Grzegorzczuk. *Język żydowski (żargon). Samouczek dla Polaków*. Lwów-Warszawa. MCMXXIV. Str. 75.

Czy wielu Polaków nauczy się języka żydowskiego na podstawie samouczka Grzegorzczuka, należy o tem poważnie wątpić, ale nawet powierzchowne obcowanie z tą książeczką, przysporzy znajomości pewnych cech żargonu, języka, który wydaje się doskonale dopasowanym do typu naszego Żyda. Trudno się zgodzić z autorem samouczka, że *alfabet hebrajski należy do łatwych* (p. 1) i dlatego bez porównania więcej przydałoby się dziełko tegoż układu i treści, lecz z transkrypcją łacińską wyrazów hebrajskich. Mogły spełznąć na niczem usiłowania Manscha (1890) i Birnbauma (1902) wprowadzenia do jęz. żyd. alfabetu łacińskiego, ale one przecież czynione były tylko dla Żydów, dlatego wcale nie przesądają celowości posługiwania łacińskimi czcionkami w wydawnictwie, mającym za zadanie popularyzację języka żydowskiego wśród ludności polskiej. Wreszcie jeśli Japończycy częściowo posługują się alfabetem łacińskim, któż zaręczy, że nie może przyjść chwila także dla żargonu?!

Właściwy samouczek poprzedzony jest krótkim wstępem, gdzie Grzegorzczuk mówi o języku żydowskim w Polsce którego używa tu niespełna 5 milionów ludzi. *Żydzi polscy mówią naogół językiem jednolitym, wyjątek stanowią kresy wschodnie, zwłaszcza województwo (sic) wileńskie, gdzie różnica polega na odmienności pewnych samogłosek i dwugłosek. Różnica ta zachodzi również w wyrazach hebrajskich* (4).

W obecnym stanie swego rozwoju język żydowski ma 70% wyrazów pochodzenia niemieckiego, 10% słowiańskiego (polskiego rosyjskiego...), 20% hebrajskiego i innych języków. Wśród innych sposobów czytania tekstów hebrajskich, zaopatrzonych w punktację, jest też litewski. Żydzi litewscy nie mają rodzaju nijakiego. W niejednym językowo Żydzi galicyjscy różnią się od zamieszkałych na Litwie (po żyd. *Lita*), gdzie np. czasownik „mieć” brzmi *obm* zamiast *ubm*.

Właściwy samouczek się składa z pisowni, gdzie kolejno po sobie następują reguły i ćwiczenia, w druku i kursywie, przyczem rolę tę spełniają cytaty z codziennej prasy żydowskiej, tak krajowej, jak zagranicznej. Dalej znajdujemy coś w rodzaju wypisów żydowskich (wybór prozy tejsze treści), a w końcu słownik polsko-żydowski, poprzedzony krótką bibliografią.

Transkrypcja łacińska, dziesięciokrotnie pomnożyłaby pożytek z tej publikacji. *Abt. Stokl.*

List do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę Pana Redaktora o umieszczenie w swem piśmie sprostowania fałszywej wiadomości, zmyślonej, prawdopodobnie w celu podburzania Polaków przeciw Litwinom i podanej w № 106 „Dziennika Wileńskiego” z dnia 11 maja, pod tytułem: „Dziwactwa litewskie”, ponieważ redakcja Dziennika Wileńskiego kategorycznie odmówiła zamieszczenia w swem piśmie niniejszego sprostowania. W owej wiadomości zmyślonej mówi się o niezwykłym szowinizmie Litwinów, dowodem czego miało być wydarcie z ziemi na cmentarzu i rozstrząskanie płyty z napisem polskim z mogiły d-ra Paszkiewicza, zmarłego przed kilkoma laty, i położenie nowej z napisem litewskim. Otóż jako jedyna z krewnych ś. p. d-ra Paszkiewicza, zostających obecnie w Wilnie i jako córka, a więc najlepiej poinformowana o całej tej sprawie, uważam sobie za obowiązek wyjaśnić, że nic podobnego nie było; w całej tej wiadomości niema ani słowa prawdy.

Ś. p. mój ojciec — dr. Paszkiewicz nie był renegatem; był z krwi i kości Litwinem, nic więc dziwnego, że, będąc już bardzo chorym, wyraził życzenie, żeby po jego śmierci nabożeństwo żałobne odbyło się w kościele litewskim, u św. Mikołaja i żeby napis na krzyżu był w języku litewskim. Życzeniu jego stało się zadość. Był postawiony tymczasowy krzyż z napisem litewskim. Jeżeli to kogo interesuje — może się o tem na cmentarzu przekonać i ów stary krzyż obejrzeć.

Gdy w tym roku w porozumieniu z dwiema nieobecneimi siostrami stawiałam ś. p. ojcu pomnik, krzyż tymczasowy został usunięty, a napis z krzyża przeniesiony na pomnik. Co do płyty, to, ponieważ jej nigdy nie było, nie mogła być ona ani zdejmowana ani rozbijana, natomiast było rozbijane aż dwa razy z kolei szkło z pokrywy metalowego wieńca, prawdopodobnie wskutek litewskiego napisu, więc, jeżeli można tu mówić o szowinizmie, to chyba nie litewskim.

Z szacunkiem

Lucja z Paszkiewiczów Szykshisowa.

Wilno, d. 20-V 1924 r.

Treść numeru: Paljatywy. — *Spectator*. O języku białoruskim kilka uwag życzliwych. — Zn. Biskup Bandurski. — *Oculatus*. Białoruskie Seminarjum nauczycielskie w Świsłoczy. — Skandaliczne zajście. — Piszą do nas. — Bibliografia. — List do redakcji. — O d c i n e k. *Hel. Rom*. Śnił sen.